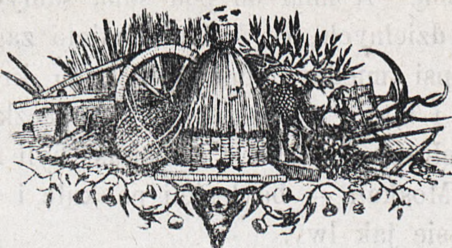
Tom XIV. Nr. 14.

11. maja 1866.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

POWSTANIE POLSKIE W ROKU 1831.

IV. Jenerał Dwernicki.

Stanęliśmy ostatnim razem na tem, jak ogromna ćma Moskali wpadła do Polski. Byli Moskale liczbą silniejsi, bo mieli daleko więcej żołnierza niż Polacy — ale za to nasi mieli więcej odwagi i waleczności a jeden żołnierz polski stał za dziesięciu Moskali.

Nie ulękli się też Polacy tak ogromnej mnogości moskiewskiego żołdactwa, ale się wzięli raźno do szabli. Pierwszy zawinął się koło Moskali jenerał Dwernicki. Józef Dwernicki był to sławny i waleczny Polak, żołnierz jakich nie dużo na świecie, a ojczyźnie dobrze zasłużony. Imię też jego będzie na wiek wieków żyło w sercu i pamięci wszystkich Polaków.

Jenerał Józef Dwernicki bił się z Moskalami jeszcze pod cesarzem Napoleonem, a już wtedy okazał wielką waleczność, za którą sam ten cesaz wielki ozdobił go krzyżem legii honorowej, który był wówczas najsławniejszym orderem w całym świecie.

Otóż kiedy Moskale przeprawili się już przez granicę i posuwali się w głąb Polski, stał jenerał Dwernicki z wojskiem swojem nad Wisłą. A miał on pod sobą samych zuchów nad zuchy, chłopów dzielnych, co śmierci śmiało zaglądali w oczy. A już to najlepsi między nimi byli pono krakusy, chwaty opętane, zwinni i bitni, w czerwonych czapeczkach, z ostremi pikami i na dzielnych koniach. Ci krakusi byli zawsze wielkim postrachem dla Moskali — bo lecieli na kule i kartacze jakby do tańca a bili się jak lwy.

Otóż dowiedział się jenerał Dwernicki, że moskiewski jenerał Gajsmar posuwa się z wielką siłą i już jest w pobliżu. Nie wiele tedy myśląc rusza Dwernicki na niego. Moskiewski jenerał Gajsmar miał dziesięć tysięcy żołnierza pod sobą, naszych było tylko coś nad sześć tysięcy.

Ale Dwernicki nie pytał wiele, ale wprost wali na Moskali i dnia 14. lutego nadybał ich pod Stoczkiem. Nasi nie mieli nawet dobrej broni, bo groty na lancach ułańskich nie były dobrze osadzone, ale Dwernicki zawołał do ułanów:

— Nie bójcie się wiara, drzewcami pobijemy Moskali!

Jak już nasi stanęli naprzeciw nieprzyjaciela, dał jenerał rozkaz do ataku, i krakusy z ułanami rzucili się jak piorun na Moskali, rąbiąc, kłując i tratując na wszystkie strony. Polscy zuchy tak chwacko i ogniście natarli na Moskali, że aż ziemia zatętniła — a nie minęło i pół godziny, a całe wojsko moskiewskiego jenerała rozbite zostało w puch na wszystkie cztery wiatry.

Okropny strach i popłoch padł na moskiewskie wojsko, uciekali jak djabły przed święconą wodą, zostawiając broń, armaty i wozy. Sam ich jenerał Gajsmar, ledwie z życiem i całemi kośćmi umknął, Moskali padło czterysta na placu — a nasi zabrali oprócz tego pięćset Moskali do niewoli, wzięli jedenaście dział z zaprzęgami, prochu i bagażów różnych co niemiara.

Naszych poległo tylko szesnaście a rannych było tylko ośmnaście. Takie to świetne zwycięztwo nad Moskalami odnieśli nasi pod Stoczkiem! W całej Polsce była radość okrutna, bo to była pierwsza bitwa, więc też cieszyli się wszyscy

z szczęśliwego początku. Po tej bitwie, to już choć się kto bał Moskali, to teraz nabrał odwagi, kiedy ujrzał, jak ich Dwernicki rozbił odrazu. Sławna też to bitwa będzie na zawsze! A zaraz o niej spisali jedną prześliczną piosenkę, którą i teraz w całej Polsce spiewają, a którą wam wypisujemy, bo choć ona już nie nowa, ale dobra i żwawa taka, że się aż serce raduje. Jest w tej piosnce, jak Krakusy, co z razu stali po za bitwą, nie mogli wytrzymać i bez rozkazu natarli na Moskali! Zaś ułożył tę piosenkę pewien Polak sławny i uczony, co śliczne wiersze układa, że mu mało kto w tem w całej Polsce dorówna, a który się zwie Wincenty Pol i za młodości swojej sam się bił w 1831 roku z Moskalami, więc też na wszystko własnemi oczyma patrzył i jak widział tak opisał:

Grzmią pod Stoczkiem armaty,
Błyszczą białe rabaty,
A Dwernicki na przedzie
Na Moskala sam jedzie.

„Hej za lance chłopacy!
„Czego będziem tu stali?
„Tam się biją rodacy,
„A myż będziem słuchali?

„Chodźwa trzepać Moskala,
„Bo dziś Polska powstała!
„Niech nam Polski nie kala —
„Hej zabierzwa mu działa!“

I zerwali się razem,
Posterunek rzucili,
Nie wołani rozkazem
Na batalię przybyli.

„Cóż tu słychać ułanie?
„Pyta jeden z nich żwawo.
— „Kropią naszych Mospanie.
„Słońce zeszło dziś krwawo!“

„Ejże? kropią, mówicie?!
„Jakże kropić nie mają
„Kiedy wy tu stoicie,
„A wej oni strzelają?!

„Wszak to działa nie dziwo?
„Wszak to blisko, wiarusy?
„Hej, na działa — a żywo!
„Dalej naprzód Krakusy!“ —

I krzyknęli wraz „Hurra!!!“
Właśnie gdy wróg nacierał:
„Co tam leci za chmura?“
Pyta sztabu jenerał.

— „Jenerale! Krakusy
„Znać swą pocztę rzucili“ —
„Oszaleli Wiarusy,
„Bez rozkazu ruszyli!

„A to czyste waryaty!
„Patrz, jak lecą po roli —
„Patrz, jak wiercą granaty!
„Nie daruję swawoli!“

Lecz gdy wódz się tak gniewa,
Groźnie patrzy do koła;
Ktoś od walki przybywa
I z daleka już woła:

— „Jenerale! to chwaty!
„Od lewego tam skrzydła
„Wiodą cztery armaty,
„I Moskali jak bydła!“

Lecą, lecą wzdłuż błonia,
Grzmią krakowskie kopyta;
A Dwernicki spiął konia,
I okrzykiem ich wita:

„Dzielnieście się spisali!
„Zawsze Polak tak bije!“
A Krakusy wołali:
„Nasza Polska niech żyje!!!“

Zaraz w tydzień po bitwie pod Stoczkiem pobił jenerał Skrzynecki Moskali pod Dobrem, tak że ich tysiąc poległo a reszta co tchu umknęła. Dokazywali w tej bitwie cudów odwagi sławni czwartacy, to jest żołnierze czwartego pułku piechoty. Tych czwartaków, dla ich odwagi i ogromnego męztwa zwano w Polsce najwaleczniejsi z walecznych, bo też sobie swoją dzielnością w ogniu zasłużyli dobrze na to honorowe miano. Zaraz w dwa dni po bitwie pod Dobrem, starli się znowu Polacy z Moskalami pod Wawrem, gdzie to dowodzili jenerałowie polscy Żymirski i Szembek, i dzielnie też wytrzepali Moskali.

Kawaler z Frysztaku.

Opowiedział Skoczek z Radomyśla.

Antek: Dobre rano sławetnej pani Marcinowej! Przychodzę do pani z wielką atencyą w bardzo ważnym interesie. Jestem jak pani widzą wojak, a tu w Radomyślu leżymy już dwa miesiące na kordonie. Ażebym pani wszystko akuratnie opowiedział, to nie będę dobierał słów, tylko powiem co moje serce czuje. Przepraszam bardzo uniżenie żem taki śmiały. Oto moje serce ma zamiar prosić o rękę Anusi, która jest sierotą i akuratnie krewną pana Marcina. Najprzód Boga a potem dobrych ludzi będę błagał, żeby Anusia mogła być moją żoną.

Marcinowa: A zkądże to pan wojak zna Anusię?

Antek: No prawda jest — gdzie Anusia na komornem, to i ja tam taki stoję na kwaterze już tydzień.

Marcinowa: I to tak prędko poznaliście się?

Antek: O ja już od dawna znam Anusię, więcej niż dwa tygodnie. Pierwej byłem na innej kwaterze, a teraz pro-

siłem pana felfebra żeby mię tam posłali, gdzie Anusia komoruje.

Marcinowa: No i cóż z tego? wyście wojak a Anusia biedna dziewczyna. Jak się bieda z biedą pobierą, to nędzę zrodzą.

Antek: Właśnie ja chcę pani Marcinowej oświadczyć moje zamysły, proszę tylko o cierpliwe wysłuchanie. Jestem rodem z Frysztaka kantonu Jasielskiego, jedynak, rodzic mój już nie żyje ani matka, po ojcach jest na mnie wielki majątek, co siedzi na nim opiekun, aż ja z wojska wrócę, spada na mnie 30 morgów gruntu ornego, łąka na 20 wozów siana, budynki dubelt, posiedzenie murowane, dwie stodół, stajnie a do tego wyprocesował adwokat 300 reńskich, co leżą dla mnie w kasie becyrku. Wójt we Frysztaku miał ochotę na mój majątek i chciał, żebym się był z jego córką żenił, ale ja co prawda nie miałem do niej serca, tom nie chciał, to on też na złość zrobił to, że oddali mię do wojska do Rosbach Infanterie regimentu.

Marcinowa: A to pięknie, kiedy macie taki majątek.

Antek: Śliczny majątek to prawda, a lata już mi się kończą, wczoraj było przy Befelu, że ja już do domu będę rukował.

Marcinowa: I to pięknie — ale to trudno żebyście się z Anusią pobrali, wyście bogacz, człek światowy, możecie tak samo z jaką bogatą się ożenić, a Anusia biedna sierota, może ma z pięć zagonów pola.

Antek: A przecież do tego ma korale, pierzynę i taki parę pięknych szmat, tobyśmy mieli na początek, bo ja co prawda potrzebuję teraz parę reńskich, trzebaby mi pójść do Frysztaka do becyrku zameldować się, żem narukował i żeby swój majątek objąć, tom przyszedł prosić pani Marcinowej żeby mi z 10 reńskich pożyczyli.

Marcinowa: Co w tem to ja się nie mogę rządzić, pogadajcie o tem interesie z moim mężem.

Antek: Dziękuję im pokornie za dobre słowo — to ja tu przyjdę nazad.

Antek odeszedł, spotkał się na mieście z Marcinem, nagadał mu wiele, ale 10 reńskich nie dostał. Marcin wrócił do domu, mówi żona do niego:

— Był tu u mnie żłonierz Antoni z Frysztaka, co się chce z Anusią żenić i chciał odemnie 10 reńskich.

Marcin: I mnie mówił o 10 reńskich, żeby wyrobił jakieś papiery w sądzie na ten swój majątek. Słyszałem w mieście, że on namawiał Anusię, żeby korale na ten interes sprzedała. Co to zaczynać z wojakiem, może to jaki pędziwiatr.

Marcinowa: Ej co też ty gadasz, to człowiek porządny, bogaty i ma rozum widać.

Wnet przychodzi Antek i mówi:

— No ja taki proszę pokornie, żeby mi sławetni państwo wierzyli, bo gadam sumiennie prawdę, że jutro maszeruję do Frysztaka po moje papiery i za tydzień powrócę, proszę, żeby nas z Anusią zaręczyli i żeby mi wygodzili 10 reńskich.

I tak się stało, bo dla Anusi wszystko Marcinowie zrobili. Antek przyniósł do Anusi swoje klajnikajty, a po całem mieście gruchnęło, że Hanka ma bogatego kawalera. Antek poszedł do onego Frysztaku i stawił się w słowie bo dziewiątego dnia wrócił do Radomyśla, zaszedł do Marcinów i gada:

— Sławetny panie Marcinie, melduję pokornie żem już narukował, alem papierów żadnych nie przyniósł. Byłem w becyrku i gadałem z samym panem naczelnikiem, ale mi powiedzieli, żebym od Radomyskiego wójta i xiędza proboszcza przyniósł wykaz, jako ja się tu chcę żenić, to mi dopiero wtenczas te 300 reńskich wydadzą a teraz dali mi jeno 20 na to konto. — Czy panu Marcinowi oddać może zaraz te 10 reńskich co mi pożyczyli, tobym poszedł i przyniósł, bo tam są u Anusi we skrzynce.

Marcin: Co tam te 10 reńskich, to mi nie pilno — a kiedyż panie Antoni ten grunt i cały majątek obejmiecie?

Antek: To taki doraz, bo dekret dziedzictwa jest już gotów, jako na mnie spada cały majątek, co je warty pięć tysięcy reńskich. Proszę pana Marcina nie trzeba się ociągać, jeno zaraz papiery wyróbmy i ja uniżenie proszę pana Marcina, żeby oni taki zemną do Frysztaka jechali, bo jabym myślał cały mój majątek sprzedać i tu w Radomyślu kawałek jaki kupić, bo Anusia nie ma chęci iść zemną na obce miasto, a co prawda to i mnie tu lubuje.

Marcinowa zaprosiła Anusię i dwóch wujów do swego domu, postawiła traktament na stole, a Antek opowiadał o swoim majątku. Dalej pyta Marcina:

— Ileż oni tu mają gruntu?

Marcin: Mam dziesięć morgów ornego i kawał łąki, budynki wszelakie w dobrym stanie — mój majątek wart ze dwa tysiące.

Antek: A tobym od nich odkupił.

Marcin: Jabym sprzedał, bo tak samo mam myśl co dołożyć i kupić większy grunt, cobym mógł dzieci obdzielić.

Antek: A toby oni mogli odemnie nabyć — jabym im taniej sprzedał jak komu inszemu, bo kiedy się żenię w waszej rodzinie, tośmy swoi. Widzisz Anuś jak to Pan Jezus kieruje nasze zamysły. Będziesz w swojem mieście obywatelką, jeszcze dokupimy parę morgów gruntu, przyjmę ci dwie dziewki a sobie dwóch parobków i będziemy z Bogiem gazdowali, będziesz panią jak się patrzy.

Anusia zalała się łzami z radości i wszyscy potruchleli na tę Boską opatrzność, że też to gdzieś ze świata się taki człowiek zjawił bogaty, dobry ba nawet i ładny dla Anusinej szczęśliwości. Antek z Anusią po traktamencie poszli do domu, a Marcinowie tylko o tym interesie radzili i nabrali wielkiej ochoty na nowe kupno we Frysztaku.

Nazajutrz rano siedziała Marcinowa na ławce przed domem, wtem biegnie Antek zadyszany z płaczem i mówi do niej:

— Oj pani Marcinowa! przypadek mi się trafił. Wczoraj wieczór wziąłem te dwie dziesiątki do sakiewki, poszedłem na ferlag zmienić, wziąłem tytoniu i cygarów, wydali mi 19 reńskich i resztę drobnych, schowałem to do sakiewki w kieszeń i poszedłem parę razy przez miasto na spacer. Może o dziesiątej godzinie przyszedłem do domu, patrzę a tu sakiewki nie ma. Całą noc nie mogłem spać ze zmartwienia, a dziś od świtu biegam i szukam, ale jak kamień do wody wrzucił. Cóż ja też teraz pocznę? Państwu winienem 10 reńskich, teraz by trzeba na stępel i na pisarza, a tu i droga do Frysztaka! Ach to już człeka ostatnia pasya może wziąść.

Marcinowa: Nie turbujcie się panie Antoni. Jutro niedziela, to ja sama pójdę prosić xiędza proboszcza żeby z ambony tę zgubę ogłosił. Może się znajdzie, a jak nie, to tu w naszym Radomyślu są jeszcze ludzie, co wam pożyczą, bo was przecie już całe miasto zna.

Xiądz proboszcz z ambony ogłosił, ale się zguba nie wróciła, bo ktoś musiał z obcej parafii znaleźć. Marcinowie uradzili, żeby Antkowi pożyczyć jeszcze 5 reńskich, a gdy wszystkie papiery były gotowe, tak rzekł Marcin do Antka:

— Mój Antoni! żądacie żebym z wami jechał do Frysztaka, to od nas będzie z 18 mil, ja swoich szkap nie mam, jenoby trza nająć, będzie kosztowało ze 20 reńskich, a co więcej to już nie wymawiam — a co zwłaszcza, to ja wam nic w sądzie nie pomogę, bom jeno cztery lata do szkoły chodził, ale mam w Błażowej krewnego Sebestyana, co dziesięć lat chodził do szkoły i po niemiecku dobrze umie, to chyba po niego pojedziemy, żeby wam wasz interes dobrze wykierował; czy komu inszemu sprzedać, czy na ten przykład jabym kupił, to trzeba porządnie wszystko spisać, żeby była pewność.

Antek: To je rychtyk, proszę ich pokornie, trzeba w ordynku wszystko zrobić, a co będzie kosztowała to wrócę, bo dzięki Bogu mam na to, a i fatygi nie będę darmo żądał.

Puścili się oba w podróż i zajechali do Błażowy — opowiedzieli wszystko Sebestyanowi, a on mądrze o tych rzeczach rozmawiał. Pani Sebestyanowa dała dobrą wieczerzę, nie brakło tam i herbatki, a jak Antek szklanką rozum do głowy nalał, tak zaczął jej o różnych wojackich sprawach opowiadać, i o miastach Majlandzie, Wenedyku różności gadał, a wszystko jak z rejestru.

Na drugi dzień ruszyli wszyscy trzej ku Frysztakowi. Antek sam poganiał końmi, a Sebestyan z Marcinem radzili o tym interesie i o kupnie. W miasteczku Strzyżowie na popasie chciał Marcin kupić obroku dla koni a Antek mówi:

— Jużeście panie Marcinie ze 40 reńskich na mnie wydali, to tu owsa nie kupujcie — do Frysztaka już jeno dwie milki, to szkapy zalecą, a tam na mojem gospodarstwie jest dość owsa, siana i koniczu.

— To prawdę mówi -- rzecze Sebestyan — wypijmy po szklance piwa!

— A ja jeszcze proszę pokornie — odzywa się Antek — żeby mi pan Marcin dali szóstkę na fajkę i pięć centów na tytoń.

— Weźcie te grajcary i idźcie pokupcie, co wam trzeba.

Antek kupił fajkę i tytoń, zakurzył a Sebestyan z Marcinem zapalili cygara i śmignęli ku Frysztakowi. Już może tylko było z cwierć milki do Frysztaka jak się Antek obraca i mówi:

— Tu się już zaczynają pola Frysztackie. Ot tam het, het od onego lasku ku tamtemu pagórkowi leci mój grunt, a tamta dolina to moja łąka na 20 wozów siana, a tam daleko co widać krzaki, to moja olszynka, jest tam dość paliwa i chrustu, a nawet jest stawek coby można trzymać ryby albo młyn postawić.

— O mój Boże, jak tu pięknie, tu jeno żyć! — woła Marcin.

Sebestyan: Oj prawdać, prawda! okolica piękna jak w raju a grunta widzę dobre.

Marcin: Ja swoje sprzedam w Radomyślu Antoniemu, a od niego zaraz to wszystko kupię.

Antek: A i owszem sławetny panie Marcinie. Ja im tanio sprzedam — ojoj coby nie.

Sebestyan: Jak wy Marcinie nie kupicie, to ja gotów kupić, bo mi się tu bardzo podobało.

Antek: Jeszczeby też — tu jeno żyć a nie umierać.

Sebestyan: Stańcie no Antoni w tej austeryi, to się piwa napijemy, bo tu bywa dobre.

Zajechali do karczmy a Antoni rzekł: No prawda że tu piwo dobre, ale szkapy nie mają co jeść. Kupcie panie Marcinie jeszcze futrażu, bo choćbyśmy zajechali do mego opiekuna to jakoś nie pasuje. Jabym myślał, żeby go, na to mówiąc, zaprosić do karczmy.

Sebestyan: Tak, tak, zaprosić go tu, oddamy mu honor, a on nas sam do siebie weźmie — a tymczasem daj żydku owsa i siana ile trzeba — my się piwa napijemy.

Wypili jeden garniec i drugi, ot zwyczajnie jak na gorącu — a Antek mówi do Marcina:

— Proszę ich pokornie żeby mi wygodzili jeszcze jeden reński, bo by trzeba wstąpić do sklepu i kupić opiekunowym dzieciom jakich łakótek, a będą się cieszyły — bo jakże tak przyjść z gołą ręką.

Marcin: To prawda — weźcie pieniądze, zapalcie cygaro i idźcie duchem, a my tu czekamy.

Antoni ukłonił się i poszedł. Jak poszedł, tak i nie przyszedł. Marcin z Sebestyanem czekają i czekają — już się i noc zrobiła a Antka nie ma. Sumitują się, co to za rzecz — pytają arendarza, a on powiada, że go zna jako urwisza co nie ma czci i wiary. Dopytywali się i w mieście i w becyrku o niego, ale go nie znaleźli a o majątku ani mów, bo on jeno miał plugawą duszę w ciele. Wrócili do domu prawie o głodzie, bo się z grosza wytracili, w tej nadziei, że jak Antek weźmie te 300 reńskich to im koszta wróci. Klęli na czem świat stoi tego zdrajcę i nikomu tego zdarzenia nie wyjawili, jak ich na durniów wystrychnął — tylko mnie Marcin to w sekrecie powiedział, a ja to wam opisuję.

Opowiadanie starego Walentego.

Spisał Grześ z Mogiły.

I. Nieco o ziemi i o górach ogniem ziejących.

(Ciąg dalszy.)

Potem pan Walenty wyciągnąwszy książeczkę ze szafy zamykanej, ukazał Wojtusiowi obrazek, na którym buchający wulkan jest wyrysowany.

— Widzisz tu — mówił pan rymarz — kilka wierzchołków gór śniegiem pokrytych, jeden z nich tylko wybucha dymem i ogniem: jest to wulkan. U spodu góry masz dziwne skały, a między skałami woda jakiegoś jeziora. Owoż z przyczyny tej wody powiem ci, iż tam, gdzie są morza niedaleko wulkanów, płynie czasem czerwona lawa do bliskiego morza, a wtedy straszny to widok, gdy morze wzburzone jęczy i kipi i parę wyrzuca. Straszny to widok, lecz ludziom nie szkodliwy; szkodliwszym bywa często popiół i piasek, które wulkan ze siebie

w takiej ilości wyrzuca, że na kilka mil w koło powietrze się ciemni, a wtedy co lawa nie spaliła, to popiół, kamyczki i żużle zasypują, albo zalewają, z deszczem na muł wymieszane.

Jeden z europejskich wulkanów leży we włoskim kraju i zowie się Wezuwiusz. Owoż ten wulkan był długi czas spokojnym tak, że ludzie na pochyłościach jego grunta uprawiali, a nawet budowali wsie i miasta, ogrody piękne zakładając. Aż naraz zaczęła się u podnóża góry ziemia mocno wstrząsać, i trzęsienia te powtarzały się przez lat kilkanaście, a niektóre z nich takie były silne, że dwa miasta rzymskie, najbliżej góry leżące w znacznej części w gruz się rozsypały. Lecz nie domyślali się ludzie, jakie nieszczęście trzęsienia te im przepowiadają; budowali więc napowrót swoje porozwalane domy, a na tem budowaniu minęło lat szesnaście. Nagle, pośród łoskotu, zaczął z Wezuwiusza ogromny dym wychodzić, prósząc popiołem i piaskiem, a przelęknieni mieszkańce poczęli z domów uciekać, widząc nad głowami czarne a nie widziane chmury z popiołu i dymu. Lecz niestety, nie wszyscy już zdołali uciec! Z przerażającym trzaskiem i podziemnemi grzmotami buchnął Wezuwiusz ogniem, lawą, kamieniami i jeszcze większą ilością popiołu, który wnet pozasypywał drogi i ulice, czyniąc z dnia noc najciemniejszą, a wkrótce częścią zasypał, a częścią zmięszawszy się z deszczem zalał gęstym mułem obydwa rozległe miasta.

Będzie już temu lat blisko tysiąc i ośmset jak się to wydarzyło, ale dopiero przed kilkudziesięciu laty natrafiono na miejsca, gdzie te dwa miasta zagrzebane zostały; a natrafiono przypadkiem, bo ani najmniejszego śladu z nich na wierzchu nie było. Dziwnie to wyglądało, gdy się ludzie wkopali w te zasypane miasta: znaleźli tam domy i świątynie, różne naczynia, posągi i obrazy, a wszystko w dobrym porządku. W koszarach wojskowych znaleziono szkielety dwóch ludzi, łańcuchami przykutych; byli to zapewne dwaj żołnierze za karę okuci, i oto wybuch nastąpił, przestraszeni mieszkańce gdzie mogli uciekli, a tych biedaków popiół wraz z więzieniem zasypał. Znaleźli tam i inne szkielety: odcisk kobiety z dzieciątkiem na rękach, na której był drogi łańcuch i pierścienie na palcach,

a znaleźli też i siecie ubogich rybaków... Mój Boże, majętnych czy ubogich i ich domy zarówno pogrzebało!

II. O słońcu, księżycu, gwiazdach i różnych zjawiskach niebieskich.

Przestał mówić pan Walenty, i sparł głowę na ręku, głęboko zamyślony, a biednemu Wojtusiowi, dumającemu ciągle o zasypaniu owych miast majętnych, aż łzy w oczach stanęły... Więc była wielka cichość w izbie, a na świeczce pod obrazem Matki Boskiej urósł knot taki wysoki, że coraz słabsze światło rozlewało się po bielonych ścianach.

Nagle podniósł się majster z ławy i rzecze:

— Ot, chodźmy na dwór; tutaj duszno, a tam wieczór śliczny, i niebo gwiazdami zasiane.

Skoczył więc Wojtuś i wyszedł z ojcem na ławę przed domem. Wieczór był rzeczywiście śliczny: wiaterek ciepły ciągnął od Sanu potrząsając z lekka bujną sadowiną, a na niebie miesiączek w pełni niby rybie oko i gwiazd prześlicznych niezliczone roje. Wiosenna woń ziół i kwiatów napełniała powietrze, a cichość rzadko głosem ludzkim przerywana, podnosiła ducha do Boga.

— Patrz Wojtusiu — rzekł pan rymarz spoglądając w górę — patrz na te wszystkie światy, którémi kieruje ręka wszechmocnego Boga! każda najdrobniejsza gwiazdka, którą tu ledwo okiem dostrzegasz, to jest ogromna kula, czyli ciało niebieskie, najczęściej większe od naszej ziemi! Teraz nie widać słońca, bo już noc, lecz ono jest największem z tych ciał niebieskich, któreśmy bliżej poznali. Wielkość słońca jest taka, iż możnaby z niego milion i cztery kroć sto tysięcy takich kul jak nasza ziemia ulepić; a tak niezmiernie daleko jest do słońca od nas, iż gdybyśmy strzelili z armaty, a kula armatnia miała siłę lecieć bez ustanku, toby musiała dwanaście lat lecieć, zaczemby do słońca doleciała. Nieogarniona to rozumem przestrzeń, bo wynosi dwadzieścia milionów i siedm kroć sto tysięcy mil! Już ztąd sobie łatwo wystawić, jaki to ogrom ono słońce, kiedy pomimo tego iż jest tak daleko od nas, przecież jeszcze możemy korzystać z jego światła i ciepła, bez czegoby ani śladu życia na ziemi nie było!

Wojtuś słuchając spoglądał na księżyc, więc przerwie ojcu czemprędzej:

— Mój tatusiu, a toć księżyc musi być jeszcze większy od słońca; niechże się tatuś przypatrzy.

— Widzę, widzę mój chłopcze, że się większy wydaje, lecz w istocie mniejszym jest nie tylko od słońca ale i od ziemi. Uważaj sobie, iż ztąd z góry drzewa na dole mniejsze się wydają niż gdy je z bliska oglądniesz. A dlaczego? bo wszystko w oddaleniu maleje, a więc i słońce, które jest tyle milionów mil od nas, musi się mniejsze wydawać od księżyca, tylko o pięćdziesiąt jeden tysięcy mil oddalonego. I tak, ta sama kula armatnia, któraby dwanaście lat czasu potrzebowała, żeby do słońca dolecieć: mogłaby na księżycu być już w dniach dwunastu. Księżyc jest tak mały, iż z naszej ziemi ulepiłby pięćdziesiąt kul jemu z wielkości podobnych, a tylko dlatego, iż jest najbliżej ziemi tak wielkim się nam wydaje. Już gołem okiem możesz rozróżnić na księżycu rozmaite plamy, a przez szkła sztuczne, które każdą rzecz pięćset razy powiększają, rozróżniają ludzie na księżycu głębokie doliny i wysokie góry skaliste, jak się zdaje trawą i drzewami wcale nie porośnięte. Księżyc pożycza swego światła od słońca, a raz na dni trzydzieści okrąża ziemię w około, zkąd też każde dni trzydzieści w roku miesiącem nazywamy. Ziemia nasza zaś obraca się najprzód naokoło siebie, a potem razem z okrążającym ją księżycem naokoło słońca, którą to ogromną drogę w jednym roku odbywa.

— To ja tego nic nie rozumię, mój tatku — odezwał się znowu Wojtuś. — Mówisz mi, że słońce i wszystkie gwiazdy są ogromnemi kulami, i że nasza ziemia i księżyc także są kulami. A jakże to może być, a na czemże one przywiązane czy oparte, że nie pospadają? I czem one tak kręcą się na około siebie?

— Mądrością boską są one powiązane ze sobą mój Wojtusiu — odrzekł pan Walenty — a na to, żebyś zrozumiał zkąd one tak a nie inaczej krążą, zaraz ci dam sposób. — Weź cienki patyczek i zasadź nań z jednego końca ziemniak jak najokrąglejszy i wielki, a z drugiego końca ziarnko grochu, i

rzuć to razem wysoko w powietrze tak, żeby się kręciło. Cóż wtedy? Oto ziemniak jako nierównie większy i cięższy będzie się trzymać zawsze w jednej mierze, podczas gdy drugi koniec z ziarnkiem grochu, będzie się w koło niego kręcił. Owoż jeśli sobie przedstawisz, że ziemniak jest słońcem, a ziarnko grochu ziemią: to masz zaraz wytłumaczenie, dlaczego nie słońce koło ziemi, ale ziemia koło słońca krąży.

— Więc ziemia i słońce także są patyczkiem ze sobą spojone? — zapytał Wojtuś nie dowierzając.

Roześmiał się na to pan Walenty:

— Oj ty nie mądra głowo! — rzecze wesoły — a tożby był piękny patyk na tyle milionów mil długi! Na samym początku, jak ci to już mówiłem, było słońce, ziemia i wszystkie gwiazdy jednolitą a ruszającą się parą; więc i potem, choć para ta skrzepła na różne ciała niebieskie, pozostał się tym ciałom ruch odwieczny za wolą Wszechmocnego, i dziś, regularnie jak skazówki na zegarze, krążą te ciała naokoło siebie, a jedno o drugie nigdy nie zawadzi. I otóż, choć bez żadnego połączenia krąży ziemia naokoło słońca, a czas, w którym je raz obiegnie, zowiemy r o k i e m; księżyc zaś krąży naokoło ziemi, a czas jego obiegu, to miesiąc.

— Ale ja tego nie rozumię — odezwał się znów Wojtuś — że my ztąd nie spadamy, skoro ziemia jest okrągłą kulą i wciąż się obraca. Mnie się zdaje, że ziemia musi być płaska.

— Zaraz ci to wyjaśnię. Jeździłeś ze mną nie dawno równiną do Jarosławia na jarmark, a gdyśmy się zbliżali do miasta, tom ci ukazywał, że najprzód wierzchołek wieży był widoczny, a potem dach na wieży, a potem dachy domów, i tak coraz niżej aż wreszcie całe miasto. Jušci gdzie są pagórki nad miastem, to zawsze tak bywa, ale gdzie równina, czegóż to dowodzi? Oto dowodzi tego, że ziemia musi być kulistą, bo gdyby ziemia nie była kulistą, tobyśmy na równinach już z bardzo daleka miasta i drzewa choć przez szkło widzieli, a to się nigdy nie trafi, bo ziemia jest kulistą, i każda jej przydłuższa, choćby najrówniejsza część, pagórek stanowi. Gdyby ziemia nasza była płaską jak talerz, toby ją słońce wszędzie naraz oświecało, a przecież tak nie jest: bo we Lwo-

wie prędzej słońce wschodzi jak w Krakowie, a w Krakowie prędzej jak w Paryżu; zaś zachód w Paryżu późniejszy jak u nas. Ale ty najlepiej sam o tem wiesz z myśli, jakie ci po głowie chodziły, gdyś był jeszcze młodszym. Otóż zdawało ci się, że tam, gdzie już oko nic dalej ujrzeć nie może, niebo ze ziemią się styka; a teraz, gdyś już ze mną w dalsze jeździł drogi, przekonałeś się, że to jest nie prawdą, że niebo zawsze nad ziemią, a oko tylko do pewnego widokręgu sięga. Lecz tak samo jak i ty, myśleli także inni ludzie; więc szli i jechali naprzód i ciągle naprzód chcąc dotrzeć do nieba, a wiesz co się wtedy działo? Oto przyjeżdżali ci ludzie na to samo miejsce zkąd wyszli, t. j. objechali całą ziemię do koła, coby się nigdy nie było stało, gdyby ziemia nie była kulistego kształtu.

Weź jabłko papierówkę, a przetknąwszy środkiem od ogonka drucik cieniuchny, rusz je potem palcem: to jabłko obróci się około drucika, jakby koło osi. Otóż i ziemia, podobna z kształtu do papierówki, bo z wierzchu i od spodu nieco przypłaszczona, wiruje najprzód około siebie, czyli około swej osi. Ruch ten sprawia iż mamy dzień i noc: Na tej półkuli którą się ziemia ku słońcu obróci wschodzi dzień, i to jest półkula wschodnia, podczas gdy na przeciwnej stronie, wraz z zachodzącem słońcem noc ciemna następuje, i to jest półkula zachodnia.

Jeden obrót ziemi około swej osi trwa dwadzieścia cztery godzin, więc i na dobę godzin dwadzieścia cztery wypada; a szybkość ziemi w okrążaniu słońca jest jeszcze większą, bo wynosi dwieście i czterdzieści mil na minutę! Jest to taka szybkość, o jakiej nam się ledwie śnić może. Atoli pomimo tej szybkości w krążeniu ziemi wszystko na niej bardzo spokojne: drzewa i domy stoją nie poruszone, ludzie nie upadają. Żebyś się przekonał jak to być może, dam ci znowu sposób: Weź małą obręcz, uwiąż ją na sznurku, a w środku obręcza położywszy kamyk, uchwyć za sznurek i pocznij obręczą czemprędzej w kółko obracać. Ujrzysz wtedy, że kamyk nie spadł, lecz owszem, jak gdyby przy największej spokojności na swojem pozostał miejscu. A jeżeli zamiast kamyka postawisz

w obręczy szklankę z wodą po brzegi, i nagle poczniesz prędko kręcić: to ci i szklanka spokojnie stać będzie, i ani kropelka wody z niej nie wybiegnie. Tak samo ma się z ziemią jak i z tą obręczą: prędki jej ruch wirowy i kolisty na około słońca utrzymuje wszystko w równowadze. Więc tym sposobem domy i drzewa stoją, człowiek nie upada, a z mórz wielkich na ziemi jak i z owej szklanki ani kropla wody nie wybryźnie. Oprócz tego nadał Pan Bóg ziemi taką wielką siłę przyciągającą, że choćbyś coś niewiedzieć jak wysoko w górę wyrzucił, to nie poleci ono ani na księżyc, ani na słońce, ale musi napowrót do swej ziemi wrócić.

Różne są ludy i morza na powierzchni ziemi, a te dzielą się na pięć wielkich lądów, które także częściami świata nazywają, i na pięć wielkich mórz czyli oceanów. Lądy są: Europa, Azya, Afryka, Ameryka i Australia, a oceany są: 1. ocean północny 2. ocean zachodni czyli atlantycki 3. ocean południowy 4. ocean wschodni czyli wielki, i 5. ocean indyjski. Na jednej półkuli ziemskiej leżą: Azya, Afryka, Australia i Europa, którą wraz z innemi narodami i my zamieszkujemy, a na drugiej półkuli leży Ameryka; więc gdy u nas dzień to w Ameryce noc, a gdy tam słońce zajdzie to u nas wschodzić zaczyna.

RÓŻNOŚCI.

Gołąb podpalaczem. Dziwny wypadek opisują gazety i nikt by temu nie uwierzył, gdyby nie poręczenie że to prawda. W Niższej Austryi w pewnej wsi chował chłop gołębie i miał na podwórzu wielki gołębnik. Otóż razu jednego wieśniak ten siedział sobie przed chatą i przypatrywał się, jak sobie gołębie ścieliły gniazda. Na podwórzu ktoś rozsypał był zapałki, a jeden gołąb dziubnął tę zapałkę i poniósł do gniazda, ot zwyczajnie bo mu taki patyczek był potrzebny. Wtem ledwie kilka chwil minęło, aż tu poczęło się ogromnie kurzyć z gołębnika a potem jasny płomień buchnął. Widać gołąb ów gdzieś rzucił w gołębniku ten siarniczek, a że słońce mocno paliło, lub też gołąb sam dziubem lub pazurkiem roztarł siarkę, dość że zapalił gołębnik. Patrzcie więc, jakie to dziwne wypadki się przytrafiają! Nauka jest z tego, aby siarniczki chować, to z lada jakiego przytrafunku może być nieszczęście.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.